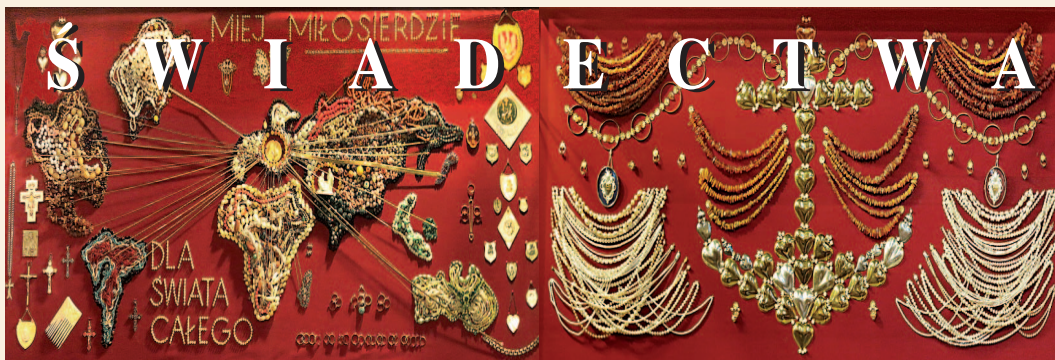


## Nie martw się, wszystko będzie dobrze

Takie słowa usłyszałam na spowiedzi św. w Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Krakowie-Łagiewnikach, mimo że jedynie wyznałam swoje grzechy, nic nie mówiąc kapłanowi o mojej chorobie, o zbliżającej się operacji, bez gwarancji jej powodzenia. Pomimo ogromnego lęku przed zbliżającym się zabiegiem, który brzmiał jak wyrok śmierci, nabrałam ducha, otrzymałam światło nadziei. Zastanawiałam się, co mogą oznaczać słowa tego kapłana, skąd on wie, że przyszedł z tak ciężkim sercem do krutek konfesjonału...

Brzmiała mi w uszach bardzo realnie napisana diagnoza, jednego z wybitnych profesorów krakowskich, dotycząca mojej choroby: *W wykonanym badaniu MRI kręgosłupa L/S rozległy wypełniający prawie całe światło kanału kręgowego guz L2-L3. Ze wskazań bezwzględnych do leczenia operacyjnego. Zabieg obciążony ryzykiem dysfunkcji neurologicznych. Zaniechanie leczenia operacyjnego spowoduje na pewno trwałe uszkodzenia neurologiczne.* Jeden z lekarzy bardzo obrazowo wytłumaczył mi, na czym będzie polegać operacja. To tak, jakby wziąć wiadro, włożyć do niego szklankę, następnie całość wiadra zalać betonem i wreszcie ten stwardniały beton tak rozkruszyć, aby nie uszkodzić szklanki. Czy to w ogóle wykonalne? Byłam niemal zrozpaczona. Wpadłam nawet na szalony pomysł, aby załatwić z moim mężem, poślubionym od roku, rozwód. Nie chciałam go unieszczęśliwić na całe życie moją bardzo prawdopodobną niepełnosprawnością, kalectwem itd. Na szczęście do tego nie doszło, ale wtedy też poznałam, jakie głupie myśli potrafią pojawiać się w człowieku, kiedy doświadcza własnej bezradności i perspektywy bycia sparalizowanym od pasa w dół.

Guz okazał się być wyściółczakiem, umiejscowionym w części lędźwiowej kręgosłupa. Postawienie diagnozy trwało bardzo długo, prawie cztery lata. Z początku dokuczaly mi tylko bóle w okolicy krzyżowej. Zatem najpierw leczono mnie na korzonki, rwę kulszową, stosowano zabiegi, prądy etc. W pewnym momencie bóle zaczęły się nasilać, zwłaszcza w nocy, nogi zaczęły drętwieć, a rano dolny odcinek kręgosłupa był cały zesztyniały aż do godziny. Prześwietlenia, USG, nawet rezonans odcinka krzyżowego nic właściwie nie wykazywały. Jeden



z lekarzy zażartował, że jak urodzę dziecko, samo wszystko przejdzie. Nie wiedziałam już co o tym myśleć, komu wierzyć. Od dwóch lat brałam codziennie leki przeciwbólowe, coraz silniejsze. Lęk przed tym, co będzie dalej, narastał. Myślałam: jestem jeszcze przecież taka młoda, cała przyszłość przede mną. Co się dzieje? Bóle stawały się nie do zniesienia. Świat mi się zamknął. Jednak w tych ciężkich chwilach Bóg prowadził. Wreszcie zdecydowano się na MR wyższych partii kręgosłupa i dopiero wówczas okazało się, że sytuacja jest bardzo poważna: guz wewnątrzwardówkowy okolicy L2-L4. Bez operacji na pewno groziła mi niemożliwość chodzenia. Z kolei sama operacja nie dawała żadnej gwarancji samodzielnego poruszania się.

W tej desperacji było wiadome, że trzeba zgodzić się na operację, na ten 1 procent szansy wyzdrowienia. Okazało się jednak, że w Krakowie aparatura wspomagająca tego typu zabieg, nie działa. Podano nam trzy możliwości: Tarnów, Łódź i Opole, i z taką diagnozą zwyczajnie wypisano ze szpitala. Moi rodzice, mąż i ja stanęliśmy bezradni. Co robić? W tym czasie moja mama spotkała „przypadkowo” na ulicy siostrę zakonną. Okazało się, że była to siostra Matki Bożej Miłosierdzia z Krakowa-Łagiewnik. Jej imię stało się dla mamy znakiem, aby przez wstawiennictwo św. Siostry Faustyny modlić się o cud wyzdrowienia lub cud szczęśliwej operacji, takiej, po której będę pełni sił i będę mogła jeszcze przemierzać z mężem wiele kilometrów nie tylko wspólnego życia, ale i wspólnych spacerów. Siostra obiecała modlitwę i powiedziała mamie, że gdy córka wyzdro-

wieje, niech przyjedzie osobiście podziękować Jezusowi Miłosiernemu.

Bóg tak pokierował wydarzeniami, że trafiłam do Szpitala Wojewódzkiego im. Św. Łukasza w Tarnowie. Nie miałam przekonania, ale cóż, czas operacji naglił. Każda zwłoka była bardzo niebezpieczna. 18 września 2017 roku poddałam się operacji. Wykonano laminektomię L4-L2 z doszczętnym usunięciem guza, ale co najważniejsze i to trzeba zaliczyć do miary cudu: bez naruszenia, bez uszkodzenia jakiegokolwiek nerwu i z bardzo szybkim powrotem do sił. Nie minął rok, a moje nogi stanęły na... Babciej Górce. Mało tego, po pół roku od zabiegu wykonano jeszcze badanie onkologiczne i okazało się, że wszystko jest czyste. Dostałam jakby nowe życie! Cuda się zdarzają... Miłosierdzie Boże nieraz działa przez ludzkie słowa, ludzkie ręce, ludzką modlitwę.

*Wdzięczna Bogu za dar zdrowia  
Małgorzata Najder*

## Nawrócenie zawdzięczam św. Faustynie

Jestem studentką. Mam 22 lata, ale droga z Jezusem dopiero się zaczyna w moim życiu. Wcześniej byłam tylko katoliczką z tradycji i żyłam bez Boga. Bywałam w kościele na święta i gdy miałam problem, na zasadzie: jak trwoga, to do Boga. Nawróciłam się dzięki „Dzienniczce” św. Siostry Faustyny. Kult Bożego Miłosierdzia odgrywa w moim życiu szczególną rolę, a ten obraz Jezusa Miłosiernego jest najwspanialszy, mam go z sobą wszędzie; na Mszy wybieram też takie miejsca, by go dobrze widzieć. Pan nasz, Jezus Chrystus dotknął mnie, a właściwie podał mi dłoń, wyciągając mnie z bagna grzechu.

Pewnego dnia w internecie szperałam i oglądałam świadectwa ludzi, którzy byli po tamtej stronie życia i wrócili. Znalazłam cytaty o piekle z „Dzienniczka” św. Faustyny i tak po prostu zaczęłam czytać tę lekturę. Była to niedziela wieczorem, więc Mszy już nie było i czekałam do następnej niedzieli z zamiarem pójścia do kościoła. Poszłam w piątek. W kościele odprawiano właśnie Drogę krzyżową i wtedy usłyszałam komunikat, że następnego dnia jest czuwanie młodych w mojej parafii. Wiedziałam już, że przyjdę na to spotkanie. Wtedy Pan mnie dotknął pierwszy raz: płakałam prawie cały czas, klęcząc, nie miałam siły wstać. Odtąd modlitwa zaczęła być sposobem na życie. Różaniec, Koronka i Pismo Święte odmieniły mnie. Zaczęłam dostrzegać działanie Boga w moim życiu i odczuwać radość z tego powodu: gdy mam problem lub muszę podjąć decyzję, a tu w kazaniu czy w innych ludziach znajduję odpowiedź na pytanie. Pan przemawia do nas, tylko problem polega na tym, że my nie dostrzegamy Jego słów.

Później Maryja pociągnęła mnie pod swój tron. Uczestniczyłam w pielgrzymce, w czasie której dostrzegałam działanie Bożego miłosierdzia i czułam się kochana. Najbardziej z pielgrzymki zapamiętałam Apel, gdy rozważano fragment o synu marnotrawnym. Nie obeszło się bez płaczu, bo czułam, że Pan mnie kocha i to w tak niesamowity sposób, którego i tak nie wyrażę. Ja, która zraniłam go obrzydliwymi grzechami, zostałam przyjęta z otwartymi ramionami przez Pana, a On ciągle obdarza mnie łaskami. Bo On nikogo nie potępia i nikogo ze swojego miłosierdzia nie wyłącza.

Teraz nie wyobrażam sobie życia bez Niego. Radość życia z Bogiem jest ogromna i wypełnia mnie całą. Widzę to, gdy porównuję swoje wcześniejsze puste życie, oparte na komercji. Miłosierdzie Boże staram się dostrzegać wszędzie i troszczyć się najbardziej o to, by zaufać Panu w pełni, całkowicie.

Przemienić nas może tylko Jezus. Tam, gdzie człowiek utknie w bagnie grzechu i nie widzi wyjścia, niech się zwraca do Pana Jezusa z tym naczyнием, którym jest Jego obraz z podpisem: Jezu, ufam Tobie.

*Kamila*

świadectwo na stronie: [www.faustyna.pl](http://www.faustyna.pl)